

Program dzisiejszego koncertu odpowiada łacińskiej zasadzie *varietas delectat*, czyli „różnorodność zachwyca, różnorodność sprawia nam przyjemność”. Trzech twórców, których utwory Państwo usłyszą, nie łączy w zasadzie nic poza tym, że żyli i pisali w XX wieku i że każdy z nich był postacią nietuzinkową, o której można by długo opowiadać. Ich kompozycje nie mają wiele wspólnych mianowników, a każda ukazuje inne oblicze minionego XX wieku, który jak żadna inna epoka w dziejach muzyki charakteryzował się właśnie różnorodnością, polifonią twórczych głosów, splątaniem rozmaitych stylistyk i estetycznych postaw.

Zaczynamy od *Małej uwertury* Zbigniewa Turskiego. Wybór jest jak najbardziej na czasie, ponieważ trwają zimowe igrzyska olimpijskie w Chinach, a Turski, nie będąc sportowcem, zdobył przecież złoty medal olimpijski. Jak do tego doszło? Otóż od 1912 do 1948 roku równoległe ze sportowymi letnimi igrzyskami olimpijskimi odbywał się konkurs sztuki, w którym nagradzane były poezja, epika, rzeźba, malarstwo, architektura oraz muzyka. Powodem organizacji takich zawodów było przekonanie, że ciało i duch muszą rozwijać się wspólnie, w myśl łacińskiej zasady *Mens sana in corpore sano* – w zdrowym ciele zdrowy duch. Byli tacy olimpijczycy, którzy tę tezę potwierdzali, zdobywając medale i w jednej i drugiej dziedzinie – na przykład Węgier Alfred Hajos, złoty medalista w pływaniu i srebrny w architekturze – zaprojektował bowiem stadion na Wyspie Małgorzaty na Dunaju. W tej olimpiadzie sztuki zresztą Polacy triumfowali nie raz, bo nagradzany był m.in. poeta Kazimierz Wierzyński, rzeźbiarz Józef Klukowski czy graficzka Joanna Konarska. Ostatnim polskim medalistą był właśnie Zbigniew Turski, który nagrodę otrzymał w 1948 roku w Londynie za *II Symfonię „Olimpijską”*. Coś, co normalnie zostałoby uznane za wielki sukces, w kraju komunistycznym stało się przekleństwem i na niestawnej Konferencji Kompozytorów i Krytyków Muzycznych w Łagowie Lubuskim *Symfonia* została napiętnowana jako przejaw sztuki „formalistycznej”. Rychło zdjęto ją z koncertowych afiszy. Turski, choć z muzyką się nie rozstał, swojego talentu zaczął

użyczać w innych dyscyplinach, pisząc muzykę do sztuk teatralnych, filmów czy słuchowisk radiowych. Autonomiczna kompozycja zeszła na drugi plan, ale wciąż dla twórcy była ważna i stąd właśnie *Mała uwertura*. Ponieważ to dzieło nieczęsto grywane, zachęcam do uważnego słuchania już od pierwszych taktów.

Mówiłem o różnorodności, więc skoro zaczynamy od muzyki powstałej w bloku wschodnim, w drugim punkcie programu przeniesiemy się na zachód, za Atlantyk, do Nowego Jorku i do jazzujących, roztańczonych lat dwudziestych. Jeszcze dobrze nie umilkły oklaski po wielkim sukcesie *Błękitnej rapsodii*, a George Gershwin już kończył swój *Koncert fortepianowy F-dur*. Nowy Jork żył Gershwinem, kochał go, a recenzenci prześcigali się w pochwałach. Na podatny grunt trafiła ta zupełnie nowa partytura. Część pierwsza oparta jest na charlestonie, jest szybka i ma za zadanie ukazać młodego pełnego entuzjazmu ducha amerykańskiego życia. Część druga, nokturnowa, bardziej zamyślona to oczywiście ukłon w stronę bluesa. A część trzecia to, jak sam określił kompozytor „orgia rytmu”, która zaczyna się z pasją i utrzymuje ją do samego końca. To wpuszczenie do świata klasyki, muzyki popularnej i rozrywkowej, za jaką wciąż jazz uchodził w tamtych latach, znalazło odbicie na widowni Carnegie Hall, gdzie 25 listopada 1925 roku odbyła się premiera. Od śmietanki towarzyskiej, przez jazzmanów po uczniów szkół muzycznej – byli tam wszyscy – cały przekrój klas społecznych – i wszyscy czekali na Gershwina-kompozytora oraz Gershwina-pianistę, bowiem to on sam zasiadł do klawiatury. Z tamtego czasu warto przytoczyć słowa Waltera Damroscha, dyrygenta, który poprowadził to pierwsze wykonanie. Proszę zwrócić uwagę na barwny i zaczepny styl, w jakim Damrosch pisał: „Większość kompozytorów krąży wokół jazzu jak kot wokół talerza z gorącą zupą, czekając aż ostygnie na tyle, by mogli z niego czerpać, nie parząc języków przyzwyczajonych dotychczas do znacznie łagodniejszych napojów, przyrządzanych przez kucharzy klasycznej szkoły. Lady Jazz tańczy tymczasem poprzez świat

w swoim intrygującym rytmie od Eskimosów Północy po Polinezyjczyków z południowych mórz. Ale w żadnej ze swych podróży nie spotkała człowieka, który wprowadziłby ją jako dostojnego gościa w krąg ludzi muzyki. George Gershwin dokonał tego cudu".

Oczywiście nie była to jedyna pochwała, jaką wystosowano pod adresem Gershwina w tamtym czasie. To ciekawe i może nawet nieco zabawne, jak z dzisiejszej perspektywy brzmią słowa krytyków muzycznych, którzy twierdzili, że dzieła Gershwina są wybitniejsze niż *Święto Wiosny* Strawińskiego czy bardziej znamienite niż dorobek szkoły wiedeńskiej.

Dzisiaj Strawińskiego również usłyszymy, ale tej opinii niestety nie zweryfikujemy, bowiem *Symfonia Es-dur*, czasami zwana *I Symfonią* Igora Strawińskiego, powstała blisko dwie dekady przed *Świętem Wiosny*. To dzieło koncertowo odkryte dopiero niedawno. Sam Strawiński o nim pamiętał, mówił wręcz, że to jego najwybitniejsza kompozycja przed *Ognistym ptakiem*. Trudno się sentymentom dziwić – w końcu była to pierwsza jego kompozycja, która ukazała się drukiem, pierwsza na orkiestrę, napisana w czasie, gdy studiował jeszcze u Rimskiego-Korsakowa, jemu też dedykowana, hen daleko przed I wojną światową, emigracją i paryskimi przygodami – a to już temat na zupełnie inną opowieść.

Mateusz Ciupka („Ruch Muzyczny”)